

— Godfryd poszedł też ze wszystkim, złożywszy przedtem śluby Klotyldzie, że wierny jej będzie aż do śmierci, że z nią tylko stanie na ślubnym kobiercu, a ona ślubowała mu to samo. Od takich ślubów zwolnić może tylko papież, który jest biskupem rzymskim i taką władzę dziedziczy wprost po świętym Piotrze.

— O wyprawie krzyżowej opowiem kiedy indziej. A o Klotyldzie... Cóż? Pokochała widać naprawdę, nie tylko po dziecinnemu swojego rycerza. Jednak była przecież dziedziczką książęcego rodu. Rodzice zgodzili się, żeby pasowała Godfryda na swego rycerza, bo myśleli, że to tylko dziecinna zabawa. Ale dziewczyna o nikim innym poza Godfrydem słyszeć nie chciała. Nic tylko „Godfryd“ i „Godfryd“. Chcieli, żeby jej to z czasem z głowy wywietrzało. Myśleli:

— Widzieć go długo nie będzie, to o nim zapomni!

— Wyprawa się skończyła. Rycerze wracali do domów, okryci chwałą, uzbierawszy sobie z łupów bogactwo nie mało. A Godfryd nie wracał. Diuk burgundzki tak to wszystko obmyślił, że mu, jako swemu rycerzowi przekaże, aby został na Wschodzie, bo tam przecież byli rycerze do obrony Grobu Pańskiego potrzebni. Więc Godfryd, posłuszny rozkazom wojował z niewiernymi, zrzadka tylko otrzymując wieści od swej ukochanej. Cieszył się nadzieją, że kiedyś przecie powróci i weźmie sobie za małżonkę miłą Klotyldę.

— I Klotylda czekała. A wyrosła na pannę bardzo urodziwą. Piękność z niej była prawdziwa. Różni możni rycerze ubiegali się o jej rękę. Ale ona uparczywie odmawiała:

— Ślubowała już jednemu rycerzowi. Czekam kiedy powróci ze świętej wyprawy.

Lata płynęły, a ona trwała w swych postanowieniach.

W końcu rodzice zaczęli niepokoić się tym uporem.

— Twój rycerz zapomniał już na pewno o tobie — mówiła matka. — Małoż to kobiet spotyka w tamtych krajach.

— Mnie ślubował! — odpowiadała niezmiennie.

— Układało się Klotyldzie dobre i zaszczytne małżeństwo z synem hrabiego Andegawii, Geoffroy'a i księżniczki angielskiej, Matyldy. Matylda jak wiadomo była pretendentką do angielskiego tronu po swym ojcu, królu Henryka I, ale jej tron zagarnął Stefan, syn hrabiego Blois i Adeli, córki Wilhelma I. Gdyby to małżeństwo doszło do skutku Klotylda zostałaby królową Anglii, bo jej konkurent wkrótce, pogodziwszy się z Stefanem, został jego następcą i po jego śmierci otrzymał tron. Ale Klotylda nie chciała wyjść za mąż za Henryka. Oświadczyła rodzicom, że albo doczeka się Godfryda, albo wstąpi do klasztoru.

— Książę rozłościł się nie na żarty. Wysłał poselstwo do papieża z prośbą o zwolnienie córki ze złożonych nieopatrnie ślubów. Ale poseł, wiozący to zwolnienie przybył za późno. Zaraza, przywleczona ze Wschodu, przeszła naonczas przez Francję. Jej ofiarą padła również Klotylda. Opowiadano, że, leżąc już na łożu śmiertelnym, wymawiała jeszcze imię Godfryda i całowała pierścień, który on ofiarował jej na pożegnanie.

Ojciec Hiacynt znów przerwał i smutno patrzył w przygasający ogień na kominie. Cicho zrobiło się w izbie; zasmęcili się słuchacze nad losem wiernej aż do śmierci Klotyldy.

— A co z Godfrydem?

- Kiedy wrócił?
 - Czy dowiedział się o losie swej damy serca?
 - Opowiem kiedy indziej! — rzucił krótko o. Hiacynt, i dał znak ręką, nakazując milczenie.
 - Cicho! Ktoś kręci się koło domu.
- Wszyscy nasłuchując, odwrócili się ku drzwiom. Nagle w ciszy rozległo się głośnie kołatanie.
- Kto tłucze się po nocy? — zapytał się Robin Hood. Wstał i podszedł do drzwi wejściowych.

ROZDZIAŁ III

w którym zamacony zostaje spokój mieszkańców leśnego osiedla i do powieści wkraczają nowe postacie

Przez otwarte przez Robin Hooda drzwi wpadł najpierw do izby mroźny wichur, niosący całe garście wirującego śniegu, a potem z nocnych ciemności wyłoniły się i wtoczyły do izby dwie męskie postacie, okutane po uszy w płaszcz.

Przez kilka chwil ludzie siedzący w izbie nie mogli poznać, kim są niespodziewani nocni przybysze. Światła płonących łuczyw zachwiały się bowiem i ściemniły od wiatru, a ogień na kominku, do którego Ben dorzucił kilka nowych polan, również na chwilę przygasł.

Dopiero gdy Robin zamknął znów drzwi, uspokoiły się płomyki łuczyw, świeże polana zapaliły się mocnym ogniem i w izbie zrobiło się całkiem jasno.

Przybysze otrzepywali w progu oblepione śniegiem płaszcze i rzuciły zasłaniające twarz kaptury. Jeden z nich podszedł do kominka

— Dobry wieczór! — powiedział wesoło.

— Ryszard! — wykrzyknęło kilka naraz głosów.

Ryszard uśmiechnął się do wszystkich na powitanie i jął ogarniać z wąsów i brody sople lodowe.

— Czemu wędrujesz po lesie w taką śnieżycę? — z wymówką w głosie powiedziała pani Alicja.

— Spieszylem się! — odpowiedział krótko po swojemu Ryszard i znów uśmiechnął się do ciotki.

Ryszard od kilku dni był nieobecny w osiedlu. Wybrał się w odwiedziny do dalekich krewnych, mieszkających w sąsiednim hrabstwie, aby omówić sprawę jakiejś pożyczki, udzielonej tamtym jeszcze przez jego ojca, Jakuba Partridge. Spodziewano się jego powrotu dopiero za kilka dni. Toteż niespodziewane jego przybycie z nieznanym towarzyszem wzbudziło zrozumiałe zainteresowanie u wszystkich.

Spojrzenia skierowały się teraz ku drugiemu przybyszowi, który dotychczas pozostawał w cieniu.

— Zbliźcie się, panie, do ognia — zapraszał go Robin Hood. — Nie wiemy, kim jesteście, ale każdy, kogo przyprowadzi do nas Ryszard, uważany będzie za przyjaciela. Siadźcie na ławie! Marianna przyniesie wam zaraz coś do jedzenia i picia, bo pewnie jesteście nie tylko zmarznięci i zmęczeni, ale i głodni.

Nieznamy zrzucił płaszcz i podszedł do komina.

— Dziękuję wam za dobre przyjęcie! — powiedział wysokim dźwięcznym głosem. — Jestem Dawid Minstrel z Worcester. Szukam pomocy przeciwko możnym, którzy chcą mi wyrządzić krzywdę. Wasz przyjaciel zapewnił mnie, że tutaj znajdę pomoc. Przyszedłem więc z nim, nie bacząc na mróz i śnieżyce.

— Jeśli Ryszard obiecał wam pomoc, otrzymacie ją — oświadczył uroczyście Robin Hood. — Ale opowiecie nam później, o co chodzi. Na razie musicie się ogrzać i posilić, aby starczyło wam mocy na opowiadanie.

Dawid wyciągnął zziębnięte ręce do ognia. Ze skórzni obu przybyłych spływała woda, a ubranie parowało pod wpływem panującego w izbie ciepła.

— Zmarzliście i zaśnieżyliście się w drodze — zauważył ojciec Hiacynt.

— Idziemy od samego rana — odparł Dawid. — Naprawdę nie wiem, w jaki sposób Ryszard odnajdywał drogę wśród zasp śnieżnych i wszędzie jednako-owego, zaśnieżonego lasu.

— Ryszard czuje się w tym lesie tak samo pewnie i tak samo pewnie odnajduje w nim drogę, jak wy, panie, w swojej własnej izbie — roześmiał się Robin Hood.

— Tak! Macie rację. Ale to nie przeszkadza, że zmęczaliśmy się okropnie, przekopując przez śniegi.

W tej chwili Marianna wyniosła z komory chleb i misę z zimnym mięsivem. Nałala do kubków polewki z piwa, która podgrzewała się na ogniu.

Obaj przybyli, nie dając powtarzać zaproszenia, zasiedli przy stole i rażno zabrali się do jedzenia.

— Wasze nazwisko — odezwał się, zwracając do gościa, ojciec Hiacynt — mówi, że jesteście śpiewakiem, układającym zgrabnie rycerskie i miłosne opowieści. Czy tak jest w istocie?

Gość skinął potakująco głową.

— Nie mylicie się, ojcze. Widzę, że bywaliście na rycerskich zamkach i znacie dworskie obyczaje.

— Jestem biednym, skromnym mnichem — odparł ojciec Hiacynt.

— W istocie. Gram na lutni i śpiewam, układając słowa do melodii, a melodię do pieśni. Podoba się to możnym panom, którzy lubią szczególnie, gdy pieśń opowiada o ich własnych czynach, albo o czynach ich przodków. Jestem minstrelem i to, mogę powiedzieć bez chwalby, minstrelem dość sławnym. Niejedną moją pieśń powtarzają inni śpiewacy. Nie zawsze wymieniają przy tym moje nazwisko. Ale i tak wystarczy mi sławy, jeśli pieśni moje rozchodzą się po świecie. Bo w pieśniach swych sławię często panią mojego serca, piękną Agnieszkę, córkę barona i pana na potężnym zamku...

Tu urwał i pochylił głowę ze smutkiem.

Wszyscy milczeli, nie chcąc przerywać zadumy gościa. Kobiety spoglądały na niego ze współczuciem, wyczuwając czułymi sercami, że gość poruszył jakąś smutną strunę, że wspomnienie o Agnieszce rani mu serce.

— Darujcie, że urwałem, ale ból dusi mi gardło. Opowiem wam historię mej miłości, która jest historią rozdartego serca. Opowiem wam, bo przecież dla niej przybyłem aż tutaj. Muszę tylko posilić się jeszcze, aby nabrać siły do opowiadania.

Znów jął się jedzenia i jadł z apetytem, którego nie psuło mu widocznie serce rozdarte w piersi. Wszyscy obecni zachowywali skupione milczenie, aby nie opóźniać chwili, kiedy Minstrel rozpocznie swą miłosną historię. Tylko Til

umorzony snem, bo rzadko kiedy w leśnej osadzie nie spano o tej porze, zdrzemnął się, stracił równowagę i z wielkim hukiem spadł z ławy na podłogę. Podnosił się niezgrabnie i bezbrzeżnie zdziwionym wzrokiem patrzył na obecnych. Ci zaś uśmiechali się tylko, aby wybuchem śmiechu nie dotknąć smutku zakochanego minstrela.

Wreszcie Dawid skończył obfity posiłek, obtarł usta z tłuszczu wierzchem dłoni i przesunął się od stołu do kominka:

— Słuchajcie teraz historii, która przygnała mnie w poszukiwaniu pomocy do was, poprzez śniegi i lody, przez bezdroża i głuche puszcze.

— Miłość mą do Agnieszki noszę w sercu od dawna. Znam ją przecież niemal od dzieciństwa. Ojciec mój był dworzaninem barona. Wychowywałem się na zamku, a ją, panią swych marzeń, widywałem niemal codziennie. Jako bardzo młody chłopiec objawiałem już zdolności do gry i śpiewu, a także chętnie układałem słowa w dźwięczne rymy i wiersze.

— Nie będę wam opowiadał całej historii swego życia, ani historii swej miłości. Powiem krótko. Agnieszka za miłość odplacała mi miłością i przysięgliśmy sobie, że będziemy należeli tylko do siebie. Ale jej rodzice ani słyszeć o tym nie chcą. Minstrel, choćby bardzo sławny, to według nich nie para dla córki barona, choć niezbyt nawet możnego. Postanowili wydać Agnieszkę wbrew jej woli za bogatego sąsiada, chociaż ona wstrząsa się na myśl o grubym, czarnym jak smok, zarosniętym, nieokrzesanym pijaku i rozpustniku. Ale on jest bogaty, a ja biedny, on ze znakomitego rodu, pan zamku i wielu wsi, a ja mizerny pacholek, minstrel, co żyje z darów, jakie mu możni panowie rzucić raczą.

Dawid westchnął rzewnie i podniósł tęsknie oczy na powałę. Słuchający wzdychali również, wyrażając mu w ten sposób swoje współczucie. Minęła dłuższa chwila milczenia, nim Minstrel podjął znów opowiadanie:

— Agnieszka, póki mogła, broniła się przed naleganiem rodziców. Ale konkurent nalegał na szybką decyzję. Być może, iż jej ojciec sprzeciwiałby się temu związkowi, w którym córka nie znajdzie na pewno szczęścia; może przynajmniej odradzałby ślub. Ale tamten opętał go zupełnie. Pożyczył mu kiedyś pieniędzy i teraz stawia sprawę ostro: albo oddać natychmiast dług, albo wydać za niego Agnieszkę. Tak to przyziemne sprawy wpływają często na losy ludzi — westchnął znów Minstrel.

— W ten sposób oświadczyły czarnego barona zostały przyjęte, data ślubu wyznaczona, a dwa serca — Agnieszki i moje — złamane.

— W jaki sposób spotkaliście się z Ryszardem? — wtrącił pytanie Robin Hood. — I dlaczego wpadliście na pomysł, ażeby przywędrować tutaj?

— Gdy już zapadło postanowienie wydania Agnieszki za mąż i data ślubu została wyznaczona — ciągnął, odpowiadając na pytanie Dawid — obecność moja w zamku stała się dla barona niepożądana, a dla mnie bardzo przykra. Wreszcie dano mi niekwestionowanie do zrozumienia, że powinienem poszukać sobie innego miejsca. I tak musiałem opuścić zamek, w którym służyłem wiernie przez wiele lat, w którym wychowałem się od dziecka, z którym związałem się całym sercem. Musiałem wyruszyć w świat, unosząc na plecach mój chudy mieczek z całym majątkiem i lutnią. Zatrzymałem się w pobliskim miasteczku.

Zamieszkałem chwilowo w gospodzie, gdzie wieczorami śpiewałem, rozweselając poczciwych mieszczan, którzy się tu schodzili na szklanke wina lub kufel

piwa. I ja, sławny minstrel, który zbierałem pochwały z ust możnych panów, teraz pospolitowałem swą sztukę, sprzedawałem ją za grosze nieokrzesanym szewcom, kowalom i handlarzom. Tam spotkałem pana Ryszarda Partridge, który z większą, niż inni uwagą słuchał moich miłosnych pieśni.

— Nie wiedziałem, Ryszardzie, że jesteś takim miłośnikiem i znawcą spraw miłosnych — zakpił ojciec Hiacynt, przerywając opowiadanie Minstrela.

Ryszard, który siedział w cieniu, z daleka od ognia, mruknął tylko coś na swą obronę.

Minstrel ciągnął dalej:

— Wdaliśmy się w rozmowę i opowiedziałem panu Ryszardowi swoje smutne dzieje. Objawił mi współczucie i obiecał dopomóc. Powiedział, że ma przyciąć, na których może liczyć. A więc... wyruszyliśmy w drogę i oto jesteśmy.

— Dobrze zrobiliście — odezwała się żywo Marianna. Mój mąż na pewno nie odmówi wam swej pomocy. A jeśli on coś postanowi — wykona na pewno.

Robin Hood roześmiał się wesoło.

— Dziękuję ci, Marianno, że tak dobrze myślisz o mnie. Chociaż tutaj... Nie jestem pewny, czy mamy prawo wtrącać się do cudzych spraw. Ta dziewczyna ma rodziców, którzy na pewno życzą jej szczęścia...

— Ale przecież słyszałeś, Robinie, że zmuszają Agnieszkę do małżeństwa wbrew jej woli... — zaprotestowała Marianna.

— Hm! Trzeba by to zbadać. Minstrel jest — darujcie mi, panie, że powiem co myślę — poetą, a poeci nie zawsze widzą rzeczy takimi, jakie są one w istocie.

— Ależ mówię wam... — obruszył się i wid.

— Mniejsza z tym! — przerwał mu Robin. — Oczywiście, można mieć różne zdania. Ale powiedzcie mi, na kiedy wyznaczony jest ślub?

— Za trzy dni — westchnął Minstrel — w kościele, znajdującym się w posiadłości czarnego barona.

Robin Hood gwizdnął lekko.

— W takim razie nie mamy wiele czasu na zbieranie wiadomości i obmyślanie środków działania.

— Tak! Trzeba działać szybko — podchwyciła Marianna.

— Widzę, że w mojej żonie będziecie mieli tęgiego sojusznika — roześmiał się Robin. — No, ale teraz, moi drodzy, powinniśmy iść na spoczynek. Niedługo zaczną już piąć koguty, a nasi podróżni mają za sobą męczący dzień. Będziemy radzić jutro. W świeżej głowie łatwiej powstają dobre myśli.

Goście zaczęli podnosić się z miejsc i żegnać z gospodarzami. Wychodzili kolejno, spiesząc każdy do swego domku. Ryszard odszedł z ciotką i siostrami.

Robin Hood przygotował w dużej izbie postanie dla niespodziewanego gościa, rzucając kilka ciepłych skór na szeroką ławę i poszedł za żoną do alkowy.

— Pomożesz Minstrelowi, Robinie! — prosiła Marianna, zarzucając mu ręce na szyję.

— Nie jestem pewien, czy powinniśmy mieszać się do tej historii — wykręcał się od stanowczej odpowiedzi.

— Ale oni kochają się przecież — przekonywała.

— Trudno mi uwierzyć w miłość, o której można powiedzieć tylko słów. Gdy Dawid zalewał nas potokiem swej wymowy, myślałem, czy nie utopi w nim swego uczucia — drwinami bronił się Robin.

- Ale pomyśl, gdybyś ty kochał mnie, a chciano mnie wydać za mąż za kogo innego... — przekonywała.
- Na pewno nie gadałbym tyle, tylko działał.
- Każdy ma inne usposobienie.
- A gdyby ciebie chciano wydać za mąż za kogo innego, czy godziłabyś się na to, kochając mnie? — z kolei zadał żonie pytanie Robin.
- Wyrwałabym się i uciekła — przyznała szczerze.
- Widzisz! — podchwycił. — Więc albo Agnieszka jest taka niezguła, jak Minstrel i nie warto im pomagać, albo ich miłość nie jest znów tak wielka, jak on śpiewa w swych opowieściach.
- Jesteś okropny, Robinie! — obruszyła się.
- Pomówimy o tym jeszcze jutro — zakończył rozmowę. — Zastanowimy się, czy warto i czy możemy tu coś pomóc.
- Ciekaw jestem tylko — dodał jeszcze po dłuższej chwili milczenia — co skłoniło Ryszarda, aby zajmował się tą całą historią?

ROZDZIAŁ IV

z którego wynika, że nie zawsze przygotowania służą celowi, dla którego zostały podjęte

Dawid Minstrel mógł być pewien swojej sprawy, spoczywała ona bowiem w dobrych rękach. Marianna wzruszyła się opowiadaniem i bardzo je sobie wzięła do serca. Postanowiła skłonić Robin Hooda, aby pomógł nieszczęśliwym kochankom. Widząc, że Robin nie podziela jej współczucia, i nie chcąc zrazić go jeszcze bardziej prośbami czy naleganiem, zaniechała ataku wprost i zaczęła „obstawiać“ go, używając do tego przyjaciół. Przeprowadziła rozmowę z ojcem Hiacyntem, szepnęła jakieś słówko pani Alicji. Zresztą każdego, kto się nawinał, przekonywała, że nie ma piękniejszego i szlachetniejszego czynu, jak pomoc dwojgu młodym, których kochające się serca siłą są rozrywane.

Robin Hood nie zapalał się zbyt do tej pomocy:

— Cóż to?! Mam być nianką gamoniów? Czy jestem już taki stary, żebym się bawił swataniem i kojarzeniem małżeństw? Nigdy nie odmawiam swej pomocy ludziom biednym, pognębnym, ale tu...

— Czy może być większe nieszczęście i pognębienie, niż odebranie kochankowi kochanki i oddanie jej komu innemu? — od niechcenia zapytała Marianna.

— Rodzice najlepiej wiedzą, co jest dobre dla ich dziecka. Nieprawdaż, ojcze? — zwrócił się Robin po odsiecz do mnicha, spodziewając się, że ten poprze go niezawodnie.

Ale ojciec Hiacynt zdradził go haniebnie.

— Czasem korzyści materialne zaślepiają ludzi — odpowiedział wykrętnie.

— Eh! — machnął ręką rozżłoszczony Robin. — Widzę, że wszystkich was oczarował ten poeta swoimi pieśniami.

— Kiedy on naprawdę mówi tak szczerze, tak prosto z serca — wtrąciła pani Alicja.

— To prawda, co mówi — dodał Ryszard. — Słyszałem o tym również od innych.

Robin poznał, że jest osaczony ze wszystkich stron. Tylko Til, który zjawił się po coś w izbie i grzał ręce przy płonącym kominku, rzucił filozoficznie:

— Wszystko było by dobrze, gdyby nie to zimno. Na taką pogodę człowiekowi ruszać się nie chce z domu, a co dopiero biegać po świecie i szukać awantury.

Przemówienie to wywarło wręcz odmienny od zamierzonego skutek.

— Cóż wy myślicie? — wybuchnął Robin Hood — że ja wykręcąm się od dania pomocy temu niedoładze, gdyż boję się zimna? Czy zestarzałem się tak bardzo? Czy jestem zdolny już tylko do siedzenia za kominem? Zabawna historia! Dobrze! Oświadczam wam, że nie mam zupełnie ochoty mieszać się w małżeńskie komeraże, ale jeśli uważacie, że powinienem... dobrze! Minstrel będzie miał swoją Agnieszkę. Ale nie odpowiadam za to, gdy oboje będą nas przeklinać, żeśmy im pomogli się pobrać!

— Ależ Robinie! — wykrzyknęła Marianna: — Zobaczysz, że będą ze sobą szczęśliwi.

Robin pokiwał głową powątpiewająco.

— Nie znam się na miłości, ale o tej nie wydałbym najlepszego sądu. Mniejsza z tym! Rzecz postanowiona. Ryszardzie! Musisz mi dać jeszcze kilka wyjaśnień i ułożymy razem plan wyprawy.

Wkrótce w całym osiedlu zapanował ruch od dawna niewidziany. Gwardia Robin Hooda, która od dłuższego czasu trwała w bezczynności zaczęła się spsobić do dużej wyprawy.

Pod wieczór cały plan dojrzał w głowie Robin Hooda. Swoim zwyczajem nie zwierzał go nikomu w całości, ale z każdym omówił szczegółowo jego zadanie. Na razie podane zostało do wiadomości, że dwudziestu ludzi z Robin Hoodem na czele wyrusza do majątności czarnego barona. Wyruszą skoro świt, aby przed wieczorem być na miejscu, tj. we wsi, w pobliżu której znajdował się kościół, wyznaczony na obrzęd zaślubin barona z Agnieszką.

Czarny baron ani się domyślał, jaka niespodzianka czeka go w uroczystym dniu ślubu. Nie pamiętał już zupełnie o minstrelu, którego czarom uległa chwilowo — jak przypuszczał — jego narzeczona. Rzecz została przecież zlikwidowana: pannie przemówiono do rozumu, a poetę wygnano na cztery wiatry. O czym więc jeszcze mówić?

W obydwu zamkach przygotowywano się do uroczystości. Zaproszono masę gości, nawet z dalekich stron.

Młoda para spotkać się miała w kościółku, dokąd każde z nich przybędzie w otoczeniu własnego orszaku. Po ślubie wszyscy udadzą się do zamku ojca Agnieszki, gdzie odbędzie się uczta weselna. Trwać będzie przynajmniej przez trzy dni, po czym goście odprowadzą młodożeńców do zamku barona, gdzie znów przygotowano dalszy ciąg weselnego obchodu: ucztę, zawody rycerskie, zabawę ludową.

Słowem, w obu zamkach przygotowania weselne wrzały w całej pełni. Pieczono mięsiwa i słodkie ciasta, warzono piwo, z miasta przywożono beczki wina, zapasy korzeni i przypraw. Czyszczono, sprzątano i przystrajano na uroczystość komnaty, a dziedzińce przybierano girlandami z zieleni.

Nadszedł wreszcie dzień ślubu. Był pogodny, ale mroźny.

W zamku ojca Agnieszki ruch się rozpoczął od rana. Do kościoła było dość daleko, więc wyruszyć trzeba było wcześniej. Postrojone druhy ubierały

pannę młodą. Okutani w futra goście umieszczali się w saniach, których cały rządz czekał na dziedzińcu.

Agnieszka w towarzystwie rodziców wsiadła do pierwszych sań, w następnych jechały druchny, które dopiero w kościele miały poznać swoich drużbów. Dalej sunęły sanie, wiozące rodzinę panny młodej, znajomych i przyjaciół jej rodziców.

Śnieg pryskał spod końskich kopyt, skrzył w promieniach słońca, jak diamenty. Szybko śmigwały przydrożne drzewa. Wokół leżała wielka śnieżna równina, na której skraju widniały ciemne zarysy lasu.

W pierwszych saniach jechano w milczeniu. Panna młoda była smutnie zamysłona, a jej rodzice nie znajdowali jakoś słów, aby ją rozweselić. Za to w saniach z druhnami wesoło było i gwarnie. Choć okutane po czubki w futra, młode panny trajkotały bez przerwy. Głównym tematem był, oczywiście, ślub, przewidywania, której jaki dostanie się kawaler w orszaku, no, i obmawianie głównych bohaterów dzisiejszej uroczystości — państwa młodych.

— Agnieszka nie wydaje się zbyt szczęśliwa. Nie okazuje przynajmniej, że cieszy się z tego małżeństwa — mówiła jedna z druhen, kuzynka panny młodej, przybyła na ślub z daleka, zza Worcester.

— To ogólna tajemnica, moja droga — tłumaczyła druga — Agnieszka kocha młodego chłopca, wiesz, takiego śpiewaka, co to układa wierszem różne historie i śpiewa je przy wórze lutni. Ale młodzieniec jest niskiego rodu, pochodzi ze służby zamkowej. Więc rodzice nie chcieli o tym słyszeć i kazali jej wyjść za mąż za barona.

— Okropnie! — zawołała pierwsza. — Zabronili jej kochać tego, który bliżej jest jej sercu! Nie dziwię się, że jest nieszczęśliwa.

— Czy można zabronić komuś kochać? Mogą ją zmusić do wyjścia za mąż, ale nie mogą rozkazać, aby pokochała narzuconego męża. Jej serce na pewno zostanie przy tamtym!

— A co na to jej ukochany? — interesowała się inna druha. — Co się z nim dzieje?

— Wiesz, że nawet nie wiem... — odpowiedziała niepewnie druga.

Tu wtrąciła się do rozmowy trzecia z panien, ciemnooka brunetka, wysuwając z futranego kaptura mały, energiczny nosek i zaróżowioną od mrozu buzię.

— Wypędzili go z zamku — oświadczyła bardzo oburzonym tonem. — Obawiali się, żeby nie wykradł Agnieszki sprzed nosa czarnemu baronowi.

— To byłoby wspaniałe! — ucieszyła się pierwsza. — Ach, tak bym chciała być na miejscu Agnieszki. I żeby ukochany wykradł mnie przed samym ślubem!

— Phi! Czy takie wspaniałe? — ironicznie podchwyciła druga. — Nie myślę, żeby to było takie szczęście być żoną wędrownego śpiewaka. I co robić? Siedzieć z takim mężem na łasce u rodziców, czy wędrować razem z nim po świecie i nosić za nim lutnię? Już ja wolę niekochanego, ale bogatego męża. Wolę być panią na męzowskim zamku...

— I całe życie nie zaznać prawdziwej miłości? — westchnęła sentymentalnie pierwsza.

